Nr. 1 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | **We Lwowie, 1 stycznia 1930** | **Rok 52**

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł. 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

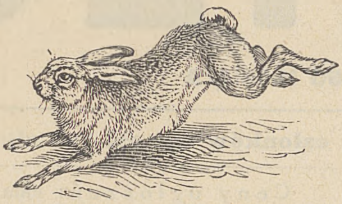
Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					▌15	■	■	15▌				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.





Z Wydawnictw

„ŁOWIEC POLSKI" Nr. 43 zawiera: Czesław Odrowąż-Pieniążek: W cesarstwie Menelika. — Przed św. Hubertem. — Andrzej Longschamps: Mój pierwszy rogacz. — Tadeusz Abramowicz: Moje wrażenia z prób polowych w Wilanowie w dniu 15/IX 1929. — Z naszych ogrodów zoologicznych. — Ze stowarzyszeń myśliwskich. — Z Towarzystwa Hodowli Psów Myśliwskich. — Czasy ochronne. — Wiadomości bieżące. — Bibljografja łowiecka. — Strzelnictwo. — Wiadomości handlowe. Kostjum damski na polowaniu.

„ŁOWIEC POLSKI" Nr. 44 zawiera: Maurycy Potocki: Polowanie na łosie w Norwegji. — Aleksander Janta-Połczyński: Myślistwo przyszłości. — J. O.: Św. Hubert a polowania. — Samochodem Buick w głąb czarnego lądu. — Czasy ochronne. — Bibljografja łowiecka. — W dniu św. Huberta. — Koło Miłośników Łowiectwa w Warszawie. — Prace i rozwój Kółka Łowieckiego „Tur". — Wiadomości handlowe. — Z Chruściechowa.

„ŁOWIEC POLSKI" Nr. 45 zawiera: Czesław Odrowąż-Pieniążek: W cesarstwie Menelika. — Maurycy Potocki: Polowanie na łosie wNorwegji. — Janusz Domaniewski: O przyszłości żubra w Polsce. — Walenty Garczyński: W sprawie artykułu: „Moje wrażenia z prób polowych w Wilanowie w dniu 15/IX 1929 r." — O polskim zwierzyńcu. — Korespondencja „Łowca Polskiego" z powiatu Iłżyckiego. — Sprostowanie. — Z Centr. Zw. Polsk. Stow. Łow. — Tępienie zajęcy. — Czasy ochronne. — Z ostatniej chwili. — Kronika myśliwska. — Wiadomości bieżące. — Strzelnictwo. — Badania naukowe przelotu ptactwa. — Zaraza zajęcza. — Maść psów rasowych. — Hodowla kun.

TREŚĆ NUMERU 1:

Nr. 1 We Lwowie, 1 stycznia 1930 Rok 52



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Na Rok Nowy!

W dniu dzisiejszym, rozpoczynającym 54-ty rok naszego istnienia, zasyłamy Członkom i Czytelnikom naszym, oraz bratnim Towarzystwom serdeczne „Szczęść Boże!"

Rok ubiegły zapisał się chlubnie w dziejach łowiectwa polskiego! Ogólno Polska Wystawa Łowiecka w Poznaniu, ten wspaniały wyczyn naszego Łowiectwa, dała znów dowód żywotności polskiej Chorągwi Św. Huberta i stała się wymownem świadectwem dziesięcioletniej owocnej pracy kulturalnej zrzeszonych w Niej hodowców myśliwych.

Rok ten jednak i smutną też po sobie pozostawia pamięć! Straszliwa zima zeszłoroczna zdziesiątkowała nasze zwierzostany. Długoletnie wysiłki nasze poszły na marne!

Poczynać trzeba pracę na nowo!

Nadeszła znów zima; nie wiemy, jaką ona będzie. Stańmy gotowi do skutecznej z nią walki. Chrońmy to, co nam jeszcze pozostało. Bądźmy powściągliwi w urządzaniu polowań, miejmy gotowe paśniki i ścieliska dla naszej płowej zwierzyny!

WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI

W sercu tajgi i tundry syberyjskiej

(Ciąg dalszy)

W tajdze ponuro i tęskno — w tundrze przygnębiająco, lękliwie i tęskno! Martwota, chłód i pustkowie wokoło, jakby wszelkie tam wymarło życie, jakby Bóg o tym kraju zapomniał, a ludzie go się bali i wyrzekli, a jeżeli nawet na jakieś osiedle ludzkie tam się natrafi, wyda się ono jakiemś przypadkowem, zbłąkanem, a przedewszystkiem tam niepotrzebnem. Jednakże ta cisza, spokój i martwota, są tylko pozorne i dla oka nieuchwytne na razie, bo przy dłuższem przybywaniu w tajdze i tundrze, na suszy lub wodach czuje się, że wre życie niemałe, a czem głębiej zbadamy ich tajemnicze wnętrza, tem więcej go tam znajdziemy i zapoznamy się z przeróżnemi zwierzętami. One to po nocach z rykiem lub złowieszczym pomrukiem włóczą się po ostępach niedostępnej puszczy za zdobyczą i żerem.

Najpierw ów kosmaty mocarz, czarnobury, olbrzymi tych stron mieszkaniec „niedźwiedź“ — to znów zgraja zgłodniałych, puszystych, popielatych lub białawych wilków żałosnem wyciem ogłusza długie noce zimowe, świecąc w ciemności ślepiami, jak ognikami błędnemi. Z trzaskiem suchych gałęzi, łamanych wspaniałemi rogami, przedziera się przez gęstwinę piękny jeleń-maral, lub rosochaty renifer, przodujący swojemu stadu — z grząskich topieli wychodzi monstrum zwierzęce — łopaciasty łoś — lub człapie po błocie stado świń dzikich z rechotem, odyniec pojedynek z hukaniem i chrząkiem właściwym. A oto na wysokiem wzgórzu odkrytem stanęła kabarga zębata, smukła, piękna i zgrabna. Lecz nie są to wyłączni i jedyni mieszkańcy tych puszcz i borów. Rosomak czarny, lisek złocisty, lub biały piesiec jego krewniak, lub tchórz, łasica, gronostaj o pięknych futerkach, są tam pospolitemi. Nie brak tam i kuny polującej na popielicę, a sobola pięknego na nią — zwierzątko to jest pożądaną zdobyczą dzikiego myśliwca, „zwierołowa-skuratnika“ on go szuka w rozwidleniach gałęzi, śpiącego po nocnych harcach za pokarmem, zdradza go puszysty ogonek, zawisły na gałęzi i bezwiednie zgubę mu gotujący.

Na jeziorach, rzekach i błotach w czasie krótkiego lata, pełno życia, wrzasku, krzyku, skrzeku, gęgania, beczenia, bąkania, klangoru i poświstu wszelkiego ptactwa, łabędzi białych, czarnych, przeróżnych gatunków gęsi, odmian kaczek i różnych, przeróżnych ptaków, nie brak i śpiewaków leśnych. W lasach gnieżdżą się orły, jastrzębie, sokoły, masy białych sów, rudych puchaczy kolosalnej wielkości i strasznie drapieżnych. Zadziwiająca jest ogromna ilość pięknych pardw (lagopus, lagopus), które nawet w najsroższe mrozy nie porzucają swej zimnej ojczyzny, strasznej tundry. Zasługuje na uwagę brak w tym kraju wszelkiego ziemnego gadu, zato plagą jego jest wielka obfitość moskitów unoszących się całemi chmurami nad osiedliskami ludzkiemi i stadami reniferów, uniemożliwiającą wszelką hodowlę stworzeń.

Mieszkaniec tych bezgranicznych przestrzeni, Jakut, Burjat, Ostyjak czy też Oroczanin, nie jest z powołania, ani też z amatorstwa myśliwym i jeżeli oddaje się temu procederowi, zmuszają go do tego ciężkie warunki życia. Kraj, którego ziemia przez dziewięć miesięcy skuta mrozami i zasypana grubą warstwą śniegu, odmarzająca zaledwie w czasie krótkiego lata, na południu na 2/3 arsz. a na północy 1/3 arsz. niezdolny jest do żadnej kultury i tuziemiec dla swego istnienia musi szukać wyżywienia swego na innem polu — myśliwstwie, a rybołostwie przeważnie. Jako dzikus, nie przestrzega on żadnego czasu łowów, ani znając etyki myśliwskiej — poluje o każdej porze roku i na każdego zwierza, leniwy z natury i ociężały, przekłada nad wszelką pogoń za zwierzem wyczekiwanie go na jego zwykłych tropach, zastawia sidła, zapadnie, żelaza i kopie wilcze doły. Używa tak dobrze broni palnej starego wojskowego karabinu „krynka“ o monstrualnej kuli, jak również starożytnego łuku i oszczepu. W razie niebezpiecznej walki ze zwierzem, wykazuje siłę, zręczność i odwagę.

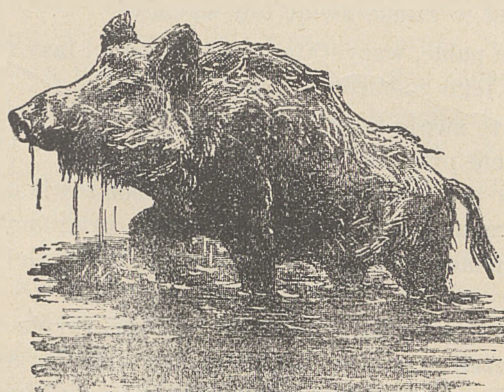
Oto obrazek z dawno minionej przeszłości myśliwskiego życia w tajdze. Wśród martwoty i grobowej ciszy drzemiącej tajgi, nagle dochodzi ucha przygodnego zbłąkańca daleki i niewyraźny odgłos jakby wojennej wrzawy, dalekiego boju, wśród którego jakiś grzmot coraz częściej wstrząsa posadami lasu. Z każdą chwilą zgiełk i wrzawa staje się wyraźniejszą, bliższą. Można już rozróżnić ujadanie psów, szczekanie i pojedyńcze żałosne wycia, a nad tem larum już wyraźny ryk rozjuszonego zwierza, zacięty bój z podłą zgrają kundysów toczącego. Jeszcze krótka chwila największego oczekiwania, gdy w gęstwinie drzew mignęła czarna tusza ogromnego misia i z szybkością błyskawiczną, o jaką trudnoby podejrzywać tego ociężałego w ruchach kolosa, podąża przez niewielką polanę, za którą zakryje go zwarta gąszcz leśna, uniemożliwiająca psom pościg i atakowanie. Jeszcze chwilę a zwierz będzie uratowany. Lecz właśnie w tym momencie przecina mu biegnący na „łyżach“ Jakut, również włochaty i w skórę zaszyty, wzrostem zaledwie od misia się różniący. Na ten widok zwierz ryknął przeraźliwie, na mgnienie oka w biegu przystanął, dał jeszcze kilka szalonych susów i tuż przed Jakutem wspiął się na łapy, wyciągając rozwartą paszczę i srogie pazury po niego. Lecz trafił on na gracza doświadczonego w bojach podobnych. Jakut odrzucił już swe łyży, stanął pewną nogą na gruncie, szybkim półobrotem zwrócił się do zwierza, wciągnął głowę między ramiona, pochylił się całkowicie naprzód i szybkim ruchem jak błyskawica, trzymaną w ukryciu przy prawym boku rohatyną pchnął zwierza w odkrytą pierś szeroką, aż całe płytkie żeleźce pogrążyło się w niej do samej poprzecznicy. Okropny ryk odpowiedział na to pchnięcie i wszczęła się walka straszna, nierówna, bój na śmierć i życie. Każdy z nas myśliwych niedźwiedzich wie doskonale o tem, że raniony zwierz nie tyle z bolu, ile z chęci po-

mszczenia się za swą krzywdę, stara się dostać go w swe łapy, zmiąć i potrzaskać mu kości, paszczą rozmiażdżyć mu czerep, poszarpać w strzępy ciało jego. Wie i zna to Jakut. Napręża całą swą siłę, by niedźwiedzia utrzymać na drągu rohatyny, a uchwyciwszy chwilę dogodną, powtórzyć cios w więcej śmiertelny organ.. Niedźwiedź nie mogąc wytrącić rohatyny z rąk myśliwego, ani ją skruszyć, całym ciężarem zawisł na niej, starając się wywrócić przeciwnika i wziąć go pod siebie, zdruzgotać, strasząc go okropnym rykiem. Zwierz mimo wielkiego upływu krwi nie słabnie, wściekłość jego zdaje się dodawać mu jeszcze siły, Jakut je traci, staje się coraz mniejszym, ugina się pod ciężarem ogromnego potwora, nogi drżą i uginają się pod nim — jeszcze chwila, jeszcze sekunda, a stanie się ofiarą zajadłego zwierza, którego łapy już chwytają za odzież nieszczęśliwca. W tej krytycznej a strasznej chwili, nadbiega pomoc, zgraja psów otacza zwierza, a dwaj towarzysze, jak dwaj zgrani z sobą i wytrawni artyści, nadbiegają, otaczają zwierza i zatapiają w jego boku ostrza swych dzid zabójczych. Żałosnym rykiem ten mocarz leśny ogłasza zwycięstwo swych oprawców, a psia zgraja dokonuje ostatecznej jego zguby. Straszny i ohydny jest widok podobnej walki dla przygodnego jej widza, gdzie wśród dzikiego ustronia tylko ryk zwierza, psie larum, żałosne wycie ranionych kundysów i krótkie, urywane z zadyszanych piersi ludzkich padają wyrazy komendy i przekleństw myśliwych.

Znałem niepośledniego myśliwca, który na samo wspomnienie o podobnej walce dostawał nerwowego wstrząsu.

Rząd cesarski deprawując poczciwą pierwotną naturę tego półdzikiego Jakuta, zakorzeniając w nim pijaństwo, kradzież, lenistwo, roznamiętnił go do pewnego okrucieństwa, zachęceniem nagród 10—25 rubli za złapanego i dostawionego każdego brodziagę, zbiega z katorgi. Spokojny, dawny Jakut w bardzo krótkim czasie stawał się okrutnym prześladowcą „brodziagi". Jeżeli nie mógł go złowić żywego — oddawał go martwego w ręce urzędu. Obyczajom i religji przodków został zawsze wiernym a próby zmoskwiczeń i sprawosławienia przez rząd Jakuta spełzały daremnie i nierzadko sam ciemiężca ojakuciał się zupełnie. Bywały wypadki ojakucenia rodzin krzewicieli prawosławia, samych popów.

(Dok. nast.)



JAROSŁAW HUBALEK

Demon puszczy

(Autoryzowany przekład Wład. Karnkowskiego)

(Ciąg dalszy)

Minęły dwa tygodnie. Śnieg się trochę uleżał, lecz zwierza jeszcze utrzymać nie mógł. Jedynie zając i lis mogły śmiało, bez zapadania utrzymać się na powierzchni. Zwierz grubszy poruszał się powoli i z trudnością, to też stale posuwał się ku równinom mającym mniej śniegu, a więcej paszy. W miarę tego i rysica zmieniała stale miejsce pobytu. Wprawdzie niechętnie opuszczała głuszę leśną, nie lubiła bowiem równin, ale co było robić? Głód jest wielkim despotą! Szła jednak bokami, zdala od dróg i ścieżek — napotkawszy je zaś — przesadzała jednym skokiem, nie zostawiając na nich zdradzieckiego odcisku łap. To też personel leśny, tropiąc drapieżców, ani razu jeszcze nie wpadł na ślad rysicy. Jakież więc było zdziwienie, gdy podczas obławy na dziki, odkryto w gąszczach świeże tropy rysie! Wnet zebrała się rada wojenna. Na drugi dzień rano otropiono cały rewir, rysia jednak nie było, pomimo smutnego świadectwa jego niedawnej obecności, dwóch rozdartych sarn, z których jedną napoczął, drugą zaś zwalił dla igraszki tylko. Widocznie, niedowierzając licznym śladom ludzkim i psim, rabuś w nocy cofnął się z powrotem w góry. Nie minęły jednak dwa dni, ryś się znów zjawił. Nie zrobił szkody w zwierzynie, ale ją rozpędził na cztery wiatry. Sarny opuściły zimowe ostoje, rozbiegłszy się po całym rewirze. Nawet jeleń nie czuł się bezpiecznym. Dalsze następstwa były opłakane. Sarny, z natury delikatne, wyczerpane zimą, zmęczone forsowną ucieczką po łamliwej i kruchej śniegowej skorupie, zadyszane, kładły się na śniegu, by podnieść się z zapaleniem płuc. Tak dłużej być nie mogło. Zmobilizowano cały personel. Zasiadano za jasnych nocy księżycowych, napróżno! — A ślady świeże widniały na śniegu codziennie. Stwierdzono nawet płeć rabusia po wydzielinach. Była to rysica, i to rysica niezwykle ruchliwa. W ciągu jednej nocy odbywała trzydziestokilometrowe pochody. Straż leśna padała ze zmęczenia, a pomimo to rysicy ani nie widziano, ani nie otropiono. Skokami przez drogi i ścieżki wyprowadzała wszystkich w pole. Próbowano tedy inaczej. Osacznicy nie tropili po ścieżkach okalających miot, lecz po gąszczach o 10 metrów od ścieżek. Tropiono nieustannie, rozpaczliwie, w ciągu dwóch bowiem tygodni znaleziono ośm sarn nieżywych, a ilu nie znaleziono?

Ryś, jako zwierzyna wymierająca, podlega cichej ochronie w państwowych lasach karpackich, rozchodzi się bowiem o zachowanie przy życiu tych ostatnich mohikanów, jakimi są: niedźwiedź, ryś, orzeł, świstak i inne. I tylko osobniki nad miarę drapieżne, wchodzą na indeks. Na rysicę podpisano wyrok jeszcze w lecie, gdy grasowała wśród bydła domowego na połoninie, po obecnych jej zbrodniach wyrok stał się nieubłaganym,

Prześladowana nieustannie zdwoiła swą ostrożność. W rewirze nie zatrzymywała się dłużej niż jedną noc. Lecz sytuacja się pogorszyła. Śnieg stwardniał do tego stopnia, że uniósł na powierzchni człowieka, przyczem codzienna niemal ponowa ułatwiała tropienie. Nakoniec jako tako otropiono ją w wysokich górach. Mówię „jako tako“ ponieważ opierano się na dwóch jedynie tropach. Jeden do miotu, wyglądał na świeższy, drugi — z miotu — na starszy. Na prędce obstawiono miot kilkoma strzelcami, całą nadzieję jednak pokładano w ciętym airdal-terrierze, przypuszczając, że zapędzi rysicę na drzewo.

Możeby się tak było stało, gdyby pies natknął się na zwierza już spłoszonego, lub w ucieczce. Tymczasem rysica wyjątkowo twardo spała — czy to z powodu sypkości wczorajszego śniegu, czy może małej ilości naganki. Psa wiódł po tropie na smyczy, leśny, myśliwy doświadczony. Widząc, że pies się tropem interesuje, puścił go. Ralf, ze zjeżoną sierścią szedł stale przed panem w równej odległości sześćdziesięciu kroków. Rysica spała tego dnia w zgniłym pniu drzewnym, wygodnie i sucho. Otwór odwrócony był od kierunku naganki i to było przyczyną, że obudziła się dopiero na głos kroków tuż pod legowiskiem, gdy równocześnie przesunął się po niem cień psa. Jak strzała, wypadła z ukrycia. Ralf szczeknął krótko, i rzucił się na nią. Biedaczysko! Rysica w biegu, mimochodem, uderzyła go łapą, i nie dbając ani o ofiarę zwijającą się po śniegu w kałuży krwi, ani o krzyk naganiaczy, z których niektórzy scenę te widzieli, rwała bezprzykładnie naprzód. Padł strzał, lecz kula uderzyła w drzewo tuż przed nią. Skoczyła nagle o trzy metry w lewo. Koło ucha gwiznęła druga kulka. Rysica dopadła wyschłego koryta starego potoku — i co skoku w nogach — kryta przed okiem strzelców, wynosiła się z miotu. Wybrała miejsce najgęstsze. Przez wąską dróżkę przeskoczyła łukiem parometrowym. Strzał w takich warunkach, był dla strzelca stojącego na dróżce, fizyczną niemożliwością.

Smutny obrazek stanowiło zejście się myśliwych po miocie. Na skrawionej guni jednego z naganiaczy przyniesiono biednego Ralfa z grzbietem szkaradnie rozdartym czterema pazurami. Pod obnażoną skórą, trzęsły się blado różowe mięśnie na mroźnym wietrze. Po pierwszym opatrunku, pojechał biedak wraz ze swym panem do lekarza w powiatowem miastecku.

Rysica przepadła jak kamień w wodzie, w rewirze nie widziano jej więcej.

Najbliższej wiosny, w starym swym barłogu dała życie trzem rysiętom, dwom kociętom i jednej koteczce. Tę ostatnią straciła wkrótce. Słabe to było od urodzenia, silniejsi bracia odsuwali ją od ciepłej piersi matczynej, aż umorzona głodem i zimnem padła. W lecie znów straciła jednego z pozostałych rysiąt. Na jednej z łowieckich wypraw natknęła się nieszczęściem na leśnego. Uskoczyła wczas w gęstwę, rysięta spieszyły co tchu za nią, lecz leśny miał jeszcze czas się złożyć i rysiątko legło martwe. Pozostało przy matce jedyne jedno dziecię, na szczęście najsilniejsze. Nie dzieląc się z rodzeństwem zdobyczą matki, rosło i rozwijało się znakomicie. Ryś kończy swój rozwój dopiero w trzecim roku, choć rysica dwuletnia może niekiedy mieć młode. Młody nasz rysik rośnie zaś tak szybko, że może za rok zrówna się ze swą czteroletnią matką. Na łowy chodzili razem. Rysik nabył wkrótce potrzebnego doświadczenia i był raczej po-

---

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI

UTRACONE SZCZĘŚCIE

I.

Drzewa w parku pałacowym szumiały jakąś pieśń tajemną, dziwną melodję niosły dźwięki rozkołysanych wichrem liści.

Park spowity całunem nocy wydawał się jakiś straszny, pełen zgrozy.

Tylko okna pałacowe rzucały w tą nieprzeniknioną ciemń światło lamp elektrycznych.

Tylko w ten sentymentalny szum drzew wdzierały się tony jazzbandu płynące z salonów, tworzyły zgrzyt w tem pełnem ukojenia zbiorowisku głosów natury.

Pod rozłożystą lipą stała biało malowana ławka.

Długo czekała na gościa, któryby chciał spocząć na niej.

Gdy muzyka na chwilę przerwała wydawać przeraźliwe tony jazzu, wybiegł młody jakiś człowiek na taras pałacu. Chwilę patrzał przed siebie.

Nieskalanej białości koszula i kamizelka, odcinały się od całości czarnego garnituru frakowego.

W tem powziął jakiś zamiar, gdyż zbiegł szybko ze schodów tarasu, i jak człowiek dobrze znający drogę, podążał w ciemnościach wprost do ławki pod lipą.

Siadł i wnet zapadł w przygnębiającą zadumę.

Przez umysł jego przesunęła się taśma minionych lat. Widział wszystkie fazy swego życia.

I stanęły mu w oczach lata jego dzieciństwa.

Urodził się w tych murach pałacowych, tu spędzał lata swego dzieciństwa, tu uczył się sztuki myśliwskiej i zachwycał przejawami natury, gdy znużony naukami przyjeżdżał w czasie świąt lub wakacyj.

Cały ten pałac, wszystkie okoliczne pola i lasy należały kiedyś do jego rodziców a potem i do niego.

Kochał te swoje łany, bory i łąki.

I wreszcie przyszła wojna.

Zaraz w pierwszych dniach walk z bolszewikami stanął w szeregach bohaterów-ochotników, pragnących wywalczyć spokojny byt świeżo zmartwychwstałej ojczyźnie.

A kiedy już wrócił, rodziców jego przykryła ziemia.

Cicho leżeli starzy w swych grobach, nie przeczuwając, jaki los czeka ich syna i majętności dziedziczne.

mocnikiem w łowach, nie przeszkodą. Nie dorównał jeszcze ani w biegu, ani w skoku swej matce, ale miał zdolności i chęć do nauki. Wkrótce doszedł do tego przekonania, że prócz człowieka ze strzelbą, żaden twór leśny im nie da rady. I dziwił się nie pomału, że matka tak starannie unika dzików. Zrozumiał to dopiero wtedy, gdy raz, z własnej ochoty, zaczepiwszy tęgiego wycinka, wyrzucony ryjem na kilka metrów, tak silnie rozbił się o pobliskie drzewo, że ledwie dowlókł się do matki. Na szczęście wycinek był wspaniałomyślny, jak wszyscy siłacze; dał nauczkę smarkaczowi i na tem poprzestał.

* * *

I znów połonina upstrzyła się bydłem i zabieliła się owcami. Tego tylko czekała rysica. Wyprowadziła ryśka wysoko w góry, aż hen, gdzie się ciągnie granica bukowego porostu. Przegląd i całonocne badanie terenu zaniepokoiły rysicę. Na połoninie panował jaki taki porządek. Każdy pasterz miał wyznaczone miejsce, na które musiał spędzać bydło na noc. Krzyku, hałasu i niezadowolenia było co nie miara, ale władze nie ustępowały, aż wreszcie poddano się rozporządzeniu. Na dobre jego wyniki nie czekano długo, szkody zmniejszyły sie znacznie. Zbawiennemi okazały się również szałasy, do których spędzano na noc krowy z cielętami.

Wilki ze skraju lasu spoglądały łakomie na niedostępne stada, a i rysicy wnętrzności głód skręcał. Jednak — niema podobno płotu bez dziury, choćby najmniejszej. Tak było i tutaj. Oto rysica wypatrzyła, że jeden z pasterzy jest ogromnym śpiochem, że w dni słotne, o ile nie widzi dozorcy, zaniedbuje się w służbie, zostawiając owce na noc w pewnej rozpadlinie skalnej. Wyczekała ciemnej nocy i bacząc pilnie na kierunek wiatru, podczołgała się na brzuchu pod samo stado. Rysiek drżał, jak listek — z niecierpliwości — magnetyzując zielonemi ślepiami owcę upatrzoną przez siebie, choć była prawie dwa razy odeń większa. Chmury przewalały się po niebie, zasłaniając chwilami zupełnie ostatnią kwadrę księżyca. Od granicy północnej dął zimny „polak“. Mitra jednak nie skarżył się na zimno, rozciągnięty w szałasie na miękkiej guni przy dogasającem ognisku. Wypaloną lulkę położył na ziemi i pół drzemiąc, zagłębił się we wspomnieniach. Jak się tu dawniej dobrze i swobodnie pasało! Gnał człowiek bydełko, gdzie chciał , nocował, gdzie popadło, a zagubiła się czasem jaka sztuka, lub dwie, to i cóż? Wola Boska! Z Polski nocą zjawiali się „kupcy“ brodaci z dziwnemi grajcarkami koło uszu, kupowali kilka koni i znikali, jak kamfora. Płacili pasterzom mało, ale dobre było i to! Szkoda szła na rachunek wilków i rysiów, szły protokoły, poszukiwania i badania, do źródła prawdy nie doszło się nigdy. Dobre to były czasy! Błogie wspomnienia bledną coraz bardziej i Mitro usypia.

Owce leżały w zbitej gromadzie. Niektóre już spały z głowami wyciągniętemi na ziemi, inne przeżuwały resztę dziennej strawy, jagnięta drzemały przytulone do ciepłego boku matek.

O jakie dwadzieścia kroków od skraju lasu majaczył kontur wielkiego głazu wapiennego. Wtem głaz ożył na powierzchni, wyrzucając z siebie dwa cienie, pełzające cicho bezszelestnie ku stadu. W odległości dziesięciu metrów pierwszy cień wrósł w ziemię, opodal za nim drugi. Chwila grobowej, niezmąconej ciszy. Rysica — ona to bowiem była pierwszym cieniem — zebrała pod siebie zadnie nogi, gotowa do skoku. Ostatnie badawcze spoj-

---

Stał się teraz właścicielem olbrzymiego majątku. Długo i ciężko borykał się z przeciwnościami życia.

Wreszcie cały majątek, poważnie nadwerężony wojną, zaczął upadać.

I wówczas ogarnął młodego dziedzica smutek ogromny. żal mu było wypuścić ze swych rąk to najukochańsze jego pole pracy, jakiem było gospodarowanie majątkiem rodzinnym w Rzewuszkach.

Rzucał się na wszystkie strony, pragnął jak najdłużej utrzymać się przy tej olbrzymiej ojcowiźnie.

Ale kiedy bandy dywersyjne spaliły cały folwark i został się tylko pałac, kiedy wskutek zarazy, wyginął cały inwentarz, nie mógł już podołać swemu zadaniu.

Znalazł się kupiec, który dawał dość dobrą sumę i tak nalegał na sprzedaż Rzewuszek, że młody człowiek mimo nadludzkich wprost zmagań z sobą, uległ pokusie i sprzedał majątek.

I tak Rzewuszki, rodzinny majątek, przeszły w obce ręce, które nie umiały uszanować niczego, co było. Niszczyły wszystko, byle jaknajwięcej wydusić z tej ziemi pieniędzy.

I wówczas on dawny właściciel majątku, pan na rozlicznych polach i lasach, został nadleśnym w swym własnym niegdyś majątku.

Nie mogła mu się w głowie pomieścić myśl rozstania się z temi polami i borami, które ukochał ponad wszystko.

I patrzał wtedy na niszczycielskie prace nowego właściciela.

Duszę jego i serce opanował smutek i żal. Gnębił w sobie rosnącą z dnia na dzień myśl odebrania tego majątku. Przebywał wprawdzie wśród tych borów ukochanych, ale gnębił go brak poczucia, że jest właścicielem tych bogactw i ukochanych rzeczy.

Długo siedział tak zamyślony, owiany czarem nocy, czasem twarz jego rozjaśniała się, to znów przybierała wyraz bezmiernej tęsknoty, jakiegoś nieopisanego bólu.

Wreszcie wstał i pochylony skierował swe kroki ku pałacowi.

Odrazu wszedł w wir par tańczących; pląsały kobiety w objęciach mężczyzn, rozmawiali, śmiali się lub marząco patrzyli na siebie.

Ledwo oczy zdążyły przyzwyczaić się do rażącego światła, już podszedł do młodego człowieka obecny właściciel Rzewuszek, pan Różogórski,

rzenie rzuciła na szałas, gdzie spał człowiek, poczem drobnemi drgającemi ruchami poprawiła się jeszcze w pozycji — i — jak dwie strzały, jedną wyrzucone cięciwą, runęły oba cienie na śpiące owce. Piorunowym ruchem łapy rozdarła rysica grzbiet najbliższego jagnięcia i chwyciwszy go w zęby, w mgnieniu oka zniknęła w gąszczu. Rysik powalił starą owcę. Reszta — jak to u owiec bywa — skupiły się w jedną gromadę, tłocząc się ku sobie ze strachu. Trwożny bek owiec rozbudził śpiącego Mitra. Z klątwami i złorzeczeniem wypadł z szałasu, zbadał rozmiary szkody i długo uspokoić się nie mógł w bezsilnej złości i niewczesnym żalu. O świtku zeszedł się z drugim pasterzem i oba uradzili, że nocną zbrodnię popełniły wilki i poszli zameldować szkodę dozorcy. A prawdziwi winowajcy, najspokojniej odpoczywali po smacznej przekąsce o dwanaście kilometrów od nich.

Wycieczki podobne powtarzały się jeszcze kilkakrotnie, a szkody zapisywano stale na rachunek wilków, dopóki leśny Hawran nie wyjaśnił sprawy. Wzmocniono zbrojny nadzór nad stadami. Dwóch gajowych nocowało stale z karabinkami — nigdy jednak nie udało im się widzieć rabusi. Wyznaczono wysoką nagrodę za zabicie wilka lub rysia. Nic nie pomagało. W jasną noc nie podszedł nic, w ciemną zaś był strzelec bezsilny. Do zdobyczy wczorajszej rysie się nie zbliżały, żelaza więc i trucizna były na nic. Leśny Hawran poprzysiągł sobie w duszy, że musi rysicę dostać. Ale jak? Czem bliżej rykowiska, tem więcej się denerwował. W zeszłym roku rozpędziła mu jelenie tak dokładnie, że pewien wysoko postawiony gość wyjechał bez wieńca, a coś podobnego nie może się powtórzyć, bo coby o nim pomyślano w głównym zarządzie leśnym? Próbował nagonki leśnej, na los szczęścia, we wszystkich rewirach. Rysicy nie było nigdzie. Z psem przeszukał całą pustą, kamienistą okolicę, gdzie mógł się spodziewać rysiej ostoi. Nie znalazł nic, prócz trochę zeschłego, starego kału rysiego. Wynalazł nawet lęgowy barłóg rysicy, zimny i opuszczony od dawna. Tymczasem nadszedł wrzesień, a z nim rykowisko jeleni. Trzeba było dać spokój poszukiwaniom rysicy, licząc na to, że się gdzieś w odległe strony wyniosła, natomiast zapewnić zupełny spokój ryczącym bykom. Rysica istotnie przycichła. Trzy tygodnie pasły się stada bez żadnego wypadku. Przed rykowiskiem — jak zwykle — spędzono je w doliny i w lesie zapanowała pozorna cisza. Dwunastego września zameldowała straż leśna pierwszy ryk jeleni. Niezawodnie stary włóczęga z Marmaroskiej żupy. Ryknie raz i drugi, poczem się cofnie.

Istotnie! Całe trzy dni było cicho, aż na raz odezwały się trzy byki równocześnie. Do zarządu poszła depesza, że rykowisko rozpoczęte. I znów przyjechali goście dostojni, ubiegać się o kapitalny wieniec, a tymczasem — jak leśni ze zgrozą stwierdzili — postarał się o niego ktoś inny i to z dobrym wynikiem.

Niedaleko Szipociku, na ścieżce strażniczej, leżał szóstak z obiecującym wieńcem. Kręgi złamane, grzbiet rozdarty, tętnice otwarte, zadnia pieczeń do połowy objedzona... Leśny zaklął jak poganin. Poznał robotę rysicy z młodem. Mógł być pewien, że rykowisko znów będzie popsute tak, jak i opinja całej straży leśnej. Rysica jednak, czy to zaniepokojona kręceniem się ludzi po rewirze, czy też z innych, jej tylko wiadomych powodów, opuściła rewir i rykowisko wypadło nadspodziewa-

---

Był to w całem tego słowa znaczeniu ucywilizowany, wzbogacony żyd. Ojciec jego nazywał się jeszcze Rosenberg, miał sklep na podrzędnej ulicy Siedlec. Syn już jego wychowany w kulturze i cywilizacji postępowej dwudziestego wieku, przezwał się Różogórskim, kupił Rzewuszki i stał się właścicielem dóbr. Potem i przechrzcił się nawet.

Panie Michale — zagadnął — ja mam dla pana dwie panie, koniecznie chcą pana poznać. Chodźmy do nich.

Ujął go protekcjonalnie pod ramię, przeprowadził przez całą długość salonu, jakby pokazać chciał w jakiej konfidencji jest z potomkiem arystokratycznego domu Lubiczów.

Stanęli wreszcie przed dwoma paniami.

Jedna z nich młodsza wpatrzyła się w Michała. Oczy jej świdrowały jego oczy. Nosek mały drgał, usta lekko rozchylone zdawały się prosić o złożenie na nich pocałunku.

Druga, starsza już, stała obok swej siostry, rozmawiając z jakimś panem.

Panie pozwolą, że im przedstawię pana Michała Lubicza — rzekł Różogórski.

Panie Michale, niech pan się zajmie naszemi paniami, pani Gorska bardzo chciała pana poznać, twierdząc, że ciekawy musi być typ człowieka, który jest nadleśnym w własnych ongiś lasach.

Zbliżył się Michał do pani Sylwji Gorskiej, ukłonił się, prosząc do tańca.

Rytmicznym ruchem zarzuciła mu Sylwia ramię na szyję i wnet zniknęli w wirze tańczących par.

Odrazu uczuł Michał sympatję do Sylwji, stała mu się miłą, niepozbawioną pewnego wdzięku kobietą.

Parę razy okrążyli salę i wkrótce znaleźli się sami na tarasie pałacu.

Usiedli na ławce i zaczęli rozmawiać.

Wie pan, — mówiła Sylwja, nie mogę zrozumieć, że pan mógł zostać nadleśnym w lasach ongiś pańskich, dziś należących do tego żyda. Gdyby nie interesa męża i ja bym tu nie bywała.

Proszę pani, kiedy człowiek coś ukocha, trudno mu się z tem rozstać. Ja tak ukochałem te bory, że nie wyobrażam sobie życia bez nich. Stałoby się ono dla mnie niecelowem, zadawałbym sobie nieraz pytanie, poco żyję, a tak mam pole pracy, nie na swojem wprawdzie, ale mam, i pracę moją kocham, choć ciężko mi nieraz patrzeć, jak giną wyhodowane przezemnie drzewa, przykro wi-

nie dobrze. Goście byli zadowoleni, zwłaszcza ów zeszłoroczny, po położeniu na dwieście metr. kapitalnego ośmnastaka z wieńcem przeszło dziesięciokilogramowym. Leśny i gajowi otrzymali pochwałę za pilny dozór nad zwierzostanem, choć Hawran czuł, że na nią zasłuży dopiero wtedy, gdy skórę rysicy naciągnie na deskę.

Zabrał się do dzieła zaraz po rykowisku. Nocował w lesie, o świtku zaczynał obchody po najodleglejszych zakątkach rewiru, żył suchym chlebem ze słoniną... — Napróżno! Po tygodniu dopiero znalazł świeży ślad rysicy z młodem, które chodziło za matką, kładąc z precyzją okrągłe swe łapy w jej stopy. Pewność zatem obecności rysicy była niezbita. Dowód bardziej jeszcze oczywisty nie dał na siebie czekać. Niedaleko szałasu, gdzie tej nocy leśny drzemał, ledwie o sto kroków na skraju lasu, znaleźli gajowi na pół objedzoną sarnę. Wilki chodziły już parami, nie byłyby więc z sarny nic więcej, prócz kości, zostawiły, nadto ślady pazurów na grzbiecie ofiary i odciski łap, wskazywały aż nadto wyraźnie na świeżą robotę rysicy. Leśny zgrzytnął zębami. Wrócił do domu i napisał podanie o trzytygodniowy urlop. Wypchał plecak, drugi podobnie ciężki dał gajowemu i poszli obaj w las.

W ustronnym, opuszczonym szałasie, zakwaterował się leśny, zapasy żywności powiesił u stropu w obawie żarłocznych myszy leśnych i odesłał gajowego do domu. Gotując herbatę na małym piecyku żelaznym, kuł plany walki z rysicą. Śniegu jeszcze nie było, lecz wisiał w powietrzu. Liść gęsto padał z drzew, w wąwozach głębokiemi lasami porosłych kłębiły się mgły jesienne, prawie do południa. Od polskiej granicy dął zimny „polak“, smutnie zawodząc w konarach odwiecznych buków i klonów. Hawran na to nie zwracał uwagi. Przed oczyma miał jeden jedyny cel: dostać na strzał rysicę, i to na strzał pewniejszy, niż wówczas na skalnym odłamie.

Pierwszy brzask wypędzał go z szałasu. Wychodził za ciemnej nocy. W butach sznurowanych, na grubych, gumowych podeszwach, skradał się cicho jak duch po ścieżkach zasypanych opadłem listowiem. Godzinami czatował w przypuszczalnych miejscach spotkania rysicy. Bacznie zwracał uwagę na przejścia przez potoki. Wiedział, że ryś, jak wszystkie koty, nie lubi zamoczyć łap i chętnie korzysta z powalonych przez potok, pni. Leżały ich setki, a ryś nie trzyma się stałych przejść. Leśny niewidzialnie znaczył pnie, i przekonał się, że rysica z młodem przechodzą w różnych miejscach, lecz nigdy tam, gdzie czaił się w ukryciu. Aż wkońcu przyszła chwila upragniona.

Lecz jest to znów wypadek zakończony smutnym epilogiem. Cóż z tego, że w powieści szczęście stale sprzyja myśliwemu? Rzeczywistość jest zwykle inna, bogatsza w niepowodzenia, niż tryumfy. Ja zaś nie piszę powieści, jeno to, co się działo i to działo prawdziwie.

Był późny wieczór. Księżyc na nowiu słabo rozpraszał ciemnię nocną, zasiloną czarnemi cieniami leśnych olbrzymów. Leśny siedział ukryty między dwoma głazami, zasłonięty od góry cieniem młodego buku. Z ukrycia widział dobrze dwa przejścia przez potok. Jedno o sześćdziesiąt kroków, wygodne do strzału, piana bowiem toczącego się za niem wodospadu stanowiła jasne tło, na którem kontur przechodzącego zwierza dobrze powinien się odrzynać. — Drugie przejście — w dole wody — odległe o trzydzieści kroków, było do strzału nieporównanie trudniejsze. Drzewo leżało tu przez potok wierzchoł-

---

dzieć rzezie, ochranianej przezemnie zwierzyny. Tu wszystko hoduje się, żywi i kultywuje dla pieniędzy. A ja, ja pragnąłbym te bory doprowadzić do stanu, w jakim kiedyś, kiedyś się znajdowały, pragnąłbym tym lasom przywrócić ich dziką i niedostępną pierwotność. Lecz tego nie dopnę, gdyż każdy mój zamiar niweczy plan Różogórskiego, który nie zdaje sobie sprawy, iż wydobywszy z tej ziemi i lasów wszystko co się tylko da, będzie musiał pożegnać się z ziemią, która wyjałowiona, nie da już tych dochodów, jakie daje dziś jeszcze.

Długo tak rozmawiali, a gdy na wschodzie świtać zaczynało, kazał Michał podjeżdżać swym koniom, by udać się do leśniczówki na parogodzinny odpoczynek.

A kiedy całował na pożegnanie rękę Sylwji Gorskiej, ta ścisnęła mu jego dłoń i tak dziwnie przekornie i zalotnie spojrzeła w jego oczy, że schylił głowę i jeszcze raz ucałował rękę Sylwji.

Wnet też porzucił rozbawione towarzystwo, udając się w drogę.

Wracał do swego domu, leżącego wśród lasów.

Gdy zdala w poświacie zarysowały się kontury leśniczówki, słońce wychyliło swą złoto-czerwoną tarczę z nad horyzontu.

Zdjął czapkę Michał, jakby pokłon oddając temu cudownemu przejawowi natury.

A kiedy konie stanęły przed małym ganeczkiem leśniczówki, raźno wyskoczył z bryczki i zaraz poszedł obejrzeć swój mały zwierzyniec.

Wszędzie w klatkach rozmieszczone były ptaki i zwierzęta różnego gatunku.

Na jego widok podniosły się z legowisk jelenie i sarny, strzepnęły skrzydłami orły i jastrzębie, jakby witając swego pana.

Do niektórych klatek wchodził Michał, głaskał zwierzęta, aż wreszcie, obejrzawszy już wszystkie, zawrócił do domu.

Położywszy się do łóżka, długo nie mógł zasnąć, w głowie czuł zamęt i wir natłoczonych wrażeń i refleksji.

Doszedł jednak do przekonania, że czuje się znacznie lepiej w tej głuszy leśnej, niż tam w salonach i towarzystwie rozbawionych ludzi. Poczuł się znacznie spokojniejszym wewnętrznie.

Słońce wysoko już na niebie świeciło, gdy zasnął, ukołysany śpiewem ptaków, który wdzierał się przez otwarte okno swej sypialni.

C. d. n.

kiem, zacienionym koroną gęstych gałęzi i resztą nieopadłych jeszcze liści. Sylwetkę zwierza widzieć było można jako tako na długości zaledwie dwóch metrów. Dalej mrok i osłona. Strzał mniej, niż wątpliwy. Dlatego leśny obrał zasiadkę bliżej tego właśnie przejścia, aby jaknajlepiej wykorzystać minimalne szanse strzału.

że wczoraj rysie przechodziły po dolnym moście, wiedział leśny z całą pewnością. Miejsce zeskoku oczyścił z liści i posypał trocinami wypróchniałego pnia. Rysica przeskoczyła podejrzane miejsce, niedoświadczony młodziak odcisnął na trocinach wszystkie cztery łapy. Leśny wiedział wszystko. Ślady należą do sztuki tegorocznej, chodzącej jeszcze z matką, są to więc na pewno jego rysie. Ale czy będą wracać tą samą drogą? Z nastaniem mroku zaczął żałować, że nie wziął dubeltówki. Kula, choć strzelcem był wybornym, w tych warunkach oświetlenia i rozporządzalnego czasu, była bardzo niepewna. Pfuj! hańba i wstyd do śmierci. Ryś, to zwierz gruby, król swego rodu, śrutem nie wolno go splamić nigdy i w żadnych, choćby najgorszych warunkach strzału. — Zresztą muszka sztucera srebrzona, świeci się jasno, może to coś pomoże... Cisza w koło, puszcza spała. Czuwał tylko złodziej i rabuś i ich przeciwwaga — leśny.

(C. d. n.)



ADAM RZEWUSKI

Z cyklu: Ciche tragedje

Motto: Plus je connais les hommes —
plus j'aime les bétes

I.

Wśród tundry Samojedskiej, ujrzała światło dzienne szara, skromna gąska — bohaterka tej opowieści.

Wielce uczeni zoologowie miano „anser bernikla" jej nadali. Szereg protoplastów gęsich nie troszczył się bynajmniej, dlaczego „bernikla", a nie inna denominacja. Zresztą w mrokach wieków, w jednolitym trybie codziennej egzystencji, zanadto byli zaobserbowani warunkami swego życia protoplaści, żeby podobnie błahe genealogiczne szczegóły miały ich interesować. Podobała się „książętom nauki" melodyjna ta nazwa, i basta! Więcej stokroć na świecie jest rzeczy ważniejszych od klejnotów herbowych począwszy, a cóż dopiero o nazwę naukową jakiegoś tam głupiego gąsiora. Nieprawdaż Czytelniku najmilszy? Przykładne stadło małżeńskie rodziców naszej heroiny, cudem powróciwszy do miłych miejsc lęgowych dalekiej północy, odrazu pogrążyło się w swych gęsich amorach. Jeszcze podczas nieustannych niebezpieczeństw w delcie Nilu, krainie Faraonów, wśród przepychu pierzastych gajów palmowych, wszelkich „śliczności" natury ekwatorjalnej, poznali się i serdecznie pokochali. Z abominacją więc obserwowali całą ohydę poligamicznych przewrotności pokrewnego rodu kaczego. Podczas, gdy lubieżne Don Juany, do szpiku kości zdeprawowane kaczory, już tam na obczyźnie, z lekkomyślnością prawie że ludzką, coraz to nowe bogdanki obierały sobie, od jednej do drugiej skromnej kaczuszki przenosząc swe zaloty, nasze patrjarchalnie małżeństwo pobrawszy się na gorących piaskach pustyni Czarnego Kontynentu, miało sobie wiernem pozostać, aż do wyhodowania nowego potomstwa. Nawet mówią, że wśród gatunku tak zwanego „króla przyrody", zdarzają się, chociaż rzadko — anomalje podobne. Wszystko się zdarza, na tym tu biednym świecie!

Papa gąsior z swą oblubienicą, już tam u stóp piramid Cheopsa delektował się rzetelnie na samą myśl powrotu do dalekiej ojczyzny, założenia swego gniazda na mszarnikach tundry Archangielskiej. Milszą dla nich była jej szarzyzna od wszelkich oglądanych piękności zamorskich.

Lecz oczekiwały ich terminy srogie, nim dolecieć miały do sezamu wymarzonego. Należało odbyć peregrynację powrotną. Bagatela! Pod przewodnictwem matadorów rodu gęsiego, lecieć miano ponad krajami cywilizowanych narodów. Na każdym niemal kroku oczekiwały na ciągnące ku strefom borealnym kohorty, niebezpieczeństwa bez liku, poczynając od prożektorów nowoczesnych latarń morskich. Nie jedna biedna główka ptasia roztrzaskaną została o osiatkowania tych niszczycielskich instalacyj, trafiając podczas ciemnych nocy w pasmo

światła zdradzieckiego. Nie każda światłość zawsze zbawczą bywa. Promień nadziei dla jednych, zgubę nieraz innym niesie. Falangi gęsie, coprawda szybując na aeroplanowych wysokościach, daleko mniej od innych gatunków cierpiały. Atoli kontemplacyjni zazwyczaj latarnicy całemi furami podejmowali rozbite słonki, cyranki, bekasy, ptasząt śpiewnych też multum. Każdego poranku niemal podnoszono smutne, martwe ofiary martwych promieni elektrycznych.

Zawdzięczając wiekami wyrobionej czujności prowodyrów w dzień, poniosły klucze minimalne straty. Lecz nocą, gdy zapadały na jeziora, stawy, moczary obszerne, oczekiwały na nie zdradliwe budki, w których otoczeni nowożytnym komfortem, czyhali na przelotne stada, popijając wyśmienity Martell, paląc wyborne cygara i zabijając czas ostatnią powieścią „Dekobra" zblazowani snobi, klasowe strzelby, luksusowemi pociągami wyrwani z objęć kobiet Miss dancingów i szelmostw giełdowych na chwil kilka z miasta „złego", śpieszyli dla rzezi (bo to nie polowanie) rozmarzonych wiosną niewiniątek.

Czas zabijała książka bulwarowa, tysiące zaś akwatycznych przyjaciół, poważne kalibry do tak zwanej „canardiery" włącznie. Owa śmiercionośna kolubryna używaną bywa na specjalnych bardzo nisko osadzonych łódkach w szarugach przedświtu, na fantastyczne odległości. Rezultat — setka nieraz upolowanych gęsi, kaczek przeróżnych, łysek poczciwych.

Poza rubikonem świata cywilizowanego, rozpoczynały się dzikie przestrzenie Rosji sowieckiej. Zgłodniali poddani czerwonych carów, pod wpływem nędzy i krwiożerczych instynktów, nocami całemi przesiadywali w jamach i zasadzkach na smakowitą nie pół, ale całą gąskę. Młoda latorośl proletarjuszy z wytrwałością godną lepszej sprawy, dniami całemi zajętą była wybieraniem jaj lęgącej się naiwnie w krainie radzieckiej dziczy. Przedstawiciele rządów robotniczo-włościańskich albowiem pasjami lubią jajecznicę, oraz podsmażane wielkości kanarków, młode kurczęta, którym się przedtem zastosowuje metody „czeka" lub „gepen". Pour ne pas perdre l'habitude z powodu kompletnego braku materjału obszarniczo-burżujskiego. Masowo zastosowują się owe zabiegi od wybrzeży Matuszki Wołgi i jeziora Chanka aż po błota Lenkorani i na wszelkich terenach czerwonego imperjum.

II.

Nareszcie skrzydlate legjony już są w tundrze Samojedskiej, opierającej się o zimne wody polarne. Tu, już mają ocalałe biedne osobniki zapewniony spokój bajeczny. Ludzi, prócz rzadkich koczujących plemion Lapończyków, niema na lekarstwo, dzięki Bogu. To też pierwsze miesiące życia upływały naszej bohaterce, jako sen rozkoszny. Na puchu z piersi matczynej, przyszło na świat niewinne gąsiątko. W kilka dni potem, już pływała cała rodzina na jeziorku bezbrzeżnej tundry. Witała ich zorza poranna, ciepło i pięknie było na świecie szerokim. Ukojenie zamarłych w jasnościach arktycznych przestrzeni, kołysało stadka najrozmaitszej wodnej zwierzyny. Jedyne towarzystwo stanowiły pardwy o djabelskim chichocie wiosennym, oraz rudy na lato bielak (lepus variabilis). Słyszeć się dawała pieśń łabędzia. Kochanek Ledy wspaniałomyślnie obdarowawszy Wagnera natchnioną melodją w Lohengrinie (cygnio gentil), ani śnił nawet o swej ostatniej pieśni, gdyż naradzała się z niej radość życia, ogrom miłości ku swej wybrance i pisklętom z gorącą podzięką Stwórcy za obecną chwilę szczęścia. Lecz godziny płynęły. Już dzień stawał się coraz krótszy, już roje muszek i komarów apatycznie tak sobie, w słońcu grały. Podmuchy lodowate z „ice-bery'ów" strefy podbiegunowej mroziły ciepłą dotąd aurę. Mądra starszyzna, zbierając się w gromady, naradzała się nad koniecznością odlotu. Łączność stanowi siłę — odleciemy zwartym szykiem tam, ku krajom wiecznej wiosny, słońca i radości życia. Tam gdzie nietylko złota cytryna dojrzewa, lecz bajeczne owoce zaczarowane. Sił nowych nabrawszy, powrócimy wiosną czarodziejską do naszych błot rodzinnych. Mamy szefów ostrożnych i doświadczonych wielce — mamy skrzydła potężne, wzrok ostry, nieomylność kierunku przez mądrość Wszechstwórcy atawistycznie nam nadaną, a którą to uczeni instynktem zwać zwykli. Więc nie trwóżcie się bracia młodzi! do góry głowy! górą serca wasze gęsie! szybować będziemy nie gorzej ludzkich aeroplanów, nawet bez benzyny — a zatem hajda! w drogę dzieci drogie! Struchlałe, z pietyzmem i uszanowaniem (prawie jak u ludzi bywa) słuchały latorośle gęgania matadorów, rosnąc w otuchę i dziarskość niezwykłą. W pewny też, zimnem wiejący wieczór wrześniowy, ruszyły pierwsze szeregi za niemi, coraz to inne ku słońcu i wiośnie. Przelot gęsi rozpoczął się — gwoli uciesze dusz myśliwskich, jakoteż konfraternij kłusowników mięsnych.

W pewną dżdżystą noc jesienną, kiedy to już nad ziemią kresową wołyńską rozśpiewała się melodja ich gęgania — nasza bohaterka odczuła naraz w czasie swego lotu ostry, ognisty ból w przedskrzydlu. Od śruciny myśliwego kamieniem spadło biedne stworzenie w trzciny i oczerety. Zawzięcie nurkując, udało się jej salwować na razie. Na drugi dzień jednakże rybacy pojmali ją i dostawili do dworu. Otoczona pieczołowitością miejscowych uroczych kasztelanek, umieszczoną została po opatrunku skrzydełka w kurniku. Za kilka dni wyglądała tak, jakby się tam urodziła. Miała też dla towarzystwa ujmującego prince-charmant w postaci domowego gąsiora. Był to kawaler wyrafinowany, światowiec kulturalny. Rany naszej bohaterki się wkrótce zagoiły i wszystko było jak najlepiej.

III.

Minęła zima sroga. Wiosną, gdy przelatywały ponad cicho drzemiącym dworem praojców trójkąty dzikich współbraci — dziwne zaiste uczucie owładnęło zamkniętą niewolnicą. Dobrze jej było — lecz mimowoli refleksy wspomnień o tundrze dalekiej, żal głęboki utraty wolności owładnął biednem gęsiem serduszkiem. Próbuje zerwać się do lotu! przekleństwo! napróżno! Więc już nigdy

nie podniesie się na skrzydłach potężnych, nie dozna rozkoszy podróży dalekich w szkarłatach zórz słonecznych, odpoczynku na falach wielkich wód pod welonem nocy rozgwiażdżonej lub poświaty księżyca, w szarugach beznadziejnych mroków jesiennych. żegnajcie na wieki kraje zamorskie, granity i lodowce alpejskie, przeloty nad morzem świateł miasta „złego", rozpalone złote piaski pustyni afrykańskiej, stopni mogił Faraonów omytych Nilu wodami!

A tam, wśród ciszy bajecznej tundry Samojedskiej, to uczucie ukojenia świętego, owe białe noce mistycyzmu pełne, błogie przekonanie, że niemasz w pobliżu człowieka, który bądź to „dusza myśliwska" czy chciwy kłusownik, zawsze jednaki ból sprawia, taki to już jego los przeklęty. Rwało się na strzępy z żalu wolne stworzenie, wśród smakołyków i dobrobytu niewoli. Lecz, jesień nadeszła. Trejkot sznurów ku słońcu ciągnących o hieratycznie wyciągniętych szyjach ptaków zagrał znowu swą pieśń nadziei i triumfu.

Skromna gąseczka próbuje wprawiać w ruch swój aparat lotniczy. Zwycięski łopot skrzydeł, wzlot ponad siatki kajdany i na zew braci wolnych, ginąc w mlecznych oparach eteru, zanika, droga wychowanka, którą tak wszyscy pokochali, zamierając dla jednych, jako zjawa krótkotrwała, odradzając się dla siebie, wolności i szerokich świetlanych przestworzy. Czy powróci do nas kiedykolwiek — żywą lub martwą? Chilo sa! Któż to wiedzieć może!



Dr STANISŁAW KOŻMIAN REJCHER

O istocie węchu

W życiu codziennem spotykamy się z taką olbrzymią ilością zdarzeń i wypadków, które na pozór zdają się bardzo proste i jasne, a w rzeczywistości krążą o nich najróżnorodniejsze pojęcia i poglądy.

Spostrzegamy, naprzykład, że pies orjentuje się w najrozmaitszych swych okolicznościach: w domu, w polu, wśród sfory i t. p., dzięki swemu węchowi.

Ludzie również posługują się węchem, jeżeli chcą odróżnić od butelki napełnionej, powiedzmy, karbolem, butelkę z wodą kolońską. Węchem potrafi człowiek odróżnić mnóstwo potraw. Dlaczego jednak węch ludzki jest gorszy od węchu psa? Na czem polega właściwie istota węchu i wietrzenia?

O sile węchu i zdolnościach wietrzenia u psa tak pisze Brehm:

„Zmysły psa są nadzwyczaj subtelne, lecz nie u wszystkich ras proporcjonalnie wykształcone. Słuch, węch i wzrok są zasadniczemi, że tak powiem, zmysłami u psów, atoli różnią się rasy między sobą lepszym lub gorszym węchem, czy też wzrokiem. Psy czują abominację do tych specyfików żywych, albo martwych, które drażnią ich organy zmysłów".

„Najmniej podniecająco działa na psa światło, zato wrażliwym jest on na tony hałaśliwe, przeraźliwe i ostre zapachy. Wyje, usłyszawszy dzwony lub sygnały syren. Zgrozą formalnie przejmuje go zapach wody kolońskiej, amonjaku i eteru, skoro pod nos podstawimy mu butelki z temi płynami. U niektórych ras węch jest tak subtelnym zmysłem, że poprostu zbudza w nas olbrzymie zdziwienie. Czem jest węch dla psa, daje nam doświadczenie, które prof. Biffi a w ślad za nim Schiff przeprowadzili. Przecięli młodym szczeniakom nerw węchowy. Po uskutecznieniu tej operacji, szczeniaki wprawdzie niby to zupełnie zdrowe, baraszkowały w legowisku, jednak sutek matki odnaleźć nie były w stanie i musiano je do nich przystawiać, albo karmić z butelki. Ssały kudły podścielonej baranicy a obecność matki rozpoznawali dotknięciem. Skoro podrosły i biegać poczęły, oddaliwszy się z legowiska, z powrotem drogi do niego odnaleźć nie mogły. Początkowo mięso i chleb zostawiały nietknięte, później nie wyróżniały miesa od chleba i rozmaitemi sposobami dawały się uwodzić. Mięsa nie dotknąwszy, zjadały własne łajno i mocz. Amonjak i eter dopiero po dłuższej chwili wywoływały kichanie. Wyrósłszy, nie okazywały żadnego przywiązania do swego otoczenia lub pana".

Z powyższego widzimy, że węch u psów jest zmysłem dominującym. Nie podaje niestety Brehm, jaka różnica zachodzi między wzrokiem i węchem psa i czem właściwie jest zapach dla psów. Bliższe określenie znajdujemy w pracy prof. Jägera pod tytułem „Odkrycie duszy" w wydaniu 3-ciem na str. 49.

„Cechą charakterystyczną składników wonnych jest ich lotność, dzięki czemu ruch atomów tych składników jest bardzo ożywiony, a w konsekwencji mają też wielką siłę żywotną. Silnie więc przenikając do organów zwierzęcych nawet najmniejsze dawki zapachów i z oddali wywołują reakcję".

„Mamy pełną świadomość tego, czem jest dźwięk, światło i barwa. Wiemy, jaka różnica zachodzi między kolorami, i dźwiękami: są to równomierne drgania wyrażające się w rozmaitych ilościach drgań".

„Czem jest zapach i czem wytłómaczyć, że potrafimy je odróżniać?"

„że podniecenie naszych organów węchu przez składniki wonne nie jest zwykłą reakcją chemiczną, wynika z tego, że nos nasz nie przejmie żadnego zgoła zapachu, skoro powietrze przesiąknięte zapachem nie otrze się o nasz organ węchu. Lotność składników wonnych jest stokroć subtelniejsza od drgań wywołanych tonem. Charakterystyką dźwięków jest, że tworzą skale: wyższe, średnie i niższe, stoją do siebie w związku liczbowym: oktawy, tercety i ilościowo między sobą się różnią. Tej

cechy nie obserwujemy u zapachów. Skali zapachów nie znamy i zachodzące różnice są tylko jakościowe“.

„Zapachy podobne są do melodji a nie do dźwięków. Równie jak w melodjach tak i w zapachach odróżniamy zmiany tylko jakościowe a nie ilościowe“.

Jasnem jest, że składniki wonne są gazowe w przeciwieństwie do promieni świetlnych. By zapach jakikolwiek skonstatować, słusznie twierdzi prof. Jäger, musi on być w ruch wprawiony, ergo zależnym jest od wiatru. Stwierdzamy zapach przez zwęszenie, to znaczy przez sztuczne wytworzenie ruchu powietrza.

Na czem więc polega istota węchu u człowieka i psa? Odpowiedź znajdziemy, skoro uprzytomnimy sobie właściwość daltonizmu. Człowiek obarczony daltonizmem, nadaremnie czasami szuka jakiś objekt, który normalnie widzący widzi przed sobą. Również człowiek pozbawiony słuchu, choć muzykę dobrze słyszy, nie wyczuje tak tonów, jak osobnik muzykalny. Ludzie więc pod względem węchu są w stosunku do psa upośledzeni, tak, jak obarczony daltonizmem, w stosunku do dobrze widzącego.

Między wyrazami: zwietrzyć i wąchać istnieje tylko różnica przestrzeni.



STANISŁAW KORWIN MILEWSKI

STOP

Miałem swego czasu fenomenalnego psa. Było to dawno — bardzo dawno, bo jeszcze przed „Wielką Wojną“... a więc przed rokiem 1914. Był to krótkowłosy niemiecki wyżeł, bronzowy bez odmian, zupełnie taki, jakim jest portret psa wyrysowany w „Diezels Niederjagd“ wydaniu dziesiątem, pod którym widnieje napis: „Kurzhaariger deutscher Vorstehhund (braun, ohne Abzeichen)“.

Nazywał się „Stop“. Nabyłem go kilka lat przed „Wielką wojną“ od Wojciecha Zaguły, leśnego mego wuja ś. p. Stanisława Jędrzejowicza z Jasionki za jego upoważnieniem. Pies był wychowany przez leśnego i przez niego ułożony, a był rzeczywiście fenomenalny.

Co za myśliwskie rozkosze z tym kochanym psem przeżyłem, trudno opisać — wyobrazić je sobie może tylko dobry myśliwy, mający dobre psy i psy te kochający. „Stop“ był uniwersalny — niezrównany przy polowaniu na kuropatwy i przepiórki, bajeczny przy krzykach, mistrz w nużącej dla psa pracy z chruścielem, pewny przy kaczkach, znakomity na ciągu słonek a umiał z zupełną flegmą także iść za nogą przy polowaniach na zające w kociołki — aportując tylko to, co mu się aportować kazało.

Nigdy nie zapomnę mych podjazdów na rogacze. Miałem w tych latach (1907—1914) mały wózek podjazdowy, zawsze specjalnie spokojne a leciwe do tych podjazdów szkapy i bajecznego chłopaka, szumnie nazwanego strzelcem o wzroku sokoła, Staszka Mazura. Prawie zawsze na podjazd jechał zemną i „Stop“, który spokojnie siedząc z przodu wózka przed mojem siedzeniem, mądrze rozglądał się po lesie. Jeżeli zwietrzył lub zobaczył coś podejrzanego — to marszczył poważnie nos i nastawiał uszy, ale to były jedyne odruchy, na jakie sobie pozwalał. Gdy zeskakiwałem z wózka, widząc rogacza albo chcąc zlustrować coś w lesie, nie zdarzyło mi się nigdy, aby „Stop“ za mną skoczył — jechał spokojnie dalej ze Staszkiem, a tylko mądrze a tęskno spoglądał w milczeniu za mną. Bajeczny pies! „Stopowi“ zawdzięczam jednego z najpiękniejszych moich rogaczy w życiu. Było to dnia 8 października 1908 roku — polowałem na kuropatwy w kartoflach na dużym łanie dworskim w Rudnej Małej niedaleko lasu. Obok pola z kartoflami był posiany łubin na przeoranie, jako zielony nawóz. Stop chodził fenomenalnie. Już zabiłem kilkanaście kuropatw, gdy raptem Stop zaczął zdradzać jakieś dziwne zdenerwowanie, pomijał kuropatwy, stawał długo, intensywnie chwytał wiatr i kierując głowę w stronę łubinu, zaczął wreszcie tam ściągać. Nie mogłem w pierwszej chwili zrozumieć postępowania psa, a będąc wtedy jeszcze bardzo młodym myśliwym i widząc podrywające na kartoflach kuropatwy, na które Stop nie zwraca uwagi — skarciłem psa. Jakież jednak było moje zdziwienie, gdy mądry Stop, mimo plag otrzymanych jeszcze gwałtowniej i wymowniej pokazywał mi łubin jako miejsce chwilowo dla nas najciekawsze i najcenniejsze.

Instynktownie usłuchałem „namowy“ psa i skierowałem swe kroki za nim, zmieniwszy jeden ładunek śrutowy na kulę „Brenneke“. Zaledwie zamknąłem strzelbę, a tu wyrywa z łubinu o jakie 30—40 kroków odemnie przepiękny rogacz myłkus, o rogach jak korkociągi, na którego już kilku poważnych łowców bezskutecznie polowało, bo dotychczas był zawsze ogromnie ostrożny.

Korzystając z obecności w lufie kuli, strzeliłem, mierząc na komorę. Rogacz mój dobrze zaznaczył, poszedł jeszcze szalonym pędem około 50 kroków i runął martwy na przyległej roli. Trzeba było widzieć wtedy triumfującą minę mego Stopa — który nacieszyszy się chwilę zdobyczą, najspokojniej wrócił do swej pracy z kuropatwami — jakby chciał mi pokazać, że ma więcej doświadczenia łowieckiego, niż młody, początkujący myśliwy, że on głupstwa nie zrobi, że trzeba mu tylko ufać i wierzyć a nagroda czasem bardzo duża napewno myśliwego nie minie.

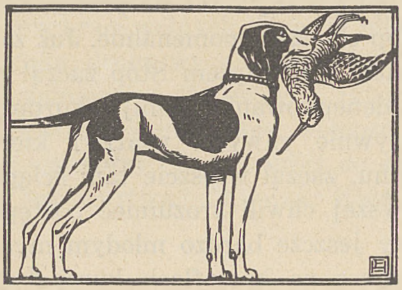
Strzeliłem potem na podjazdach i podchodach przeszło 100 rogaczy w życiu i wiele miałem pięknych chwil łowieckich — ale żadne późniejsze spotkanie z rogaczami nie utrwaliło mi się tak, jak to w pamięci, oczywiście

dzięki fenomenalnej pracy mego Stopa, który mi poprostu darował tego rogacza.

Biedny Stop zginął tragicznie. Niebywale do mnie przywiązany, nie mógł znieść rozstania się ze mną, które musiało nastąpić, gdy wybuchła „Wielka wojna". Po mym wyjeździe z domu położył się przy mojem łóżku, nie przyjmował jadła, wył z cicha i zginął w kilka dni. Biedny, wierny Stop!

Czy Stop był psem naprawdę? Nie wiem.

Jeżeli sądzić o jego rozumie, to niezawodnie możnaby się przychylić do twierdzenia, że w Stopie przebywała jakaś „pokutująca dusza" bardzo mądrego człowieka, prawdopodobnie profesora. Jeżeli sądzić po sercu i po charakterze, to raczej by trzeba w nim obecność człowieka wykluczyć — bo wprawdzie Stop nie żył w epoce, gdy naród ma być suwerenny — a w której tak o charaktery tak trudno, lecz jeszcze przed rokiem 1914, ale i w tych czasach więcej było zacnych psów niż ludzi i więcej u psów charakteru i serca, a Stop miał rzeczywiście charakter silny i piękny i bardzo dobre serce.



MIECZYSŁAW KRUSZEWSKI

Opiekunom żubra w puszczy Białowieskiej do notatnika

Jak trudne zadanie przejęły sfery miarodajne na siebie, wysadzając resztki uratowanych od zagłady żubrów w zwierzyńcu w Białowieskiej puszczy, niech posłuży za dowód analogiczna sytuacja z jedyną znaną na świecie rodziną białych jeleni (nie albinosów), chowanych od szeregu lat w małym zwierzyńcu hr. Wumbrandta w Stickelberg, w Niższej Austrji.

W styczniu 1920 r. dostali się pewnej nocy do tego zwierzyńca mimo ogrodzenia i troskliwej opieki, trzej kłusownicy, którzy zabili strzałami z rewolwerów i uderzeniami siekiery ojca rodu, dobrego 14-taka, a starą łanię tak poturbowali, że później zginęła; jelenie te były zupełnie oswojone. Gdy rano leśniczy zjawił się w zwierzyńcu, aby założyć karmę, znalazł już tylko resztki bez wieńców.

W trosce o utrzymanie tych drogocennych okazów, zdecydował się właściciel w styczniu 1923 r. oddać całą z 4 sztuk zaledwie składającą się gromadkę do zoologicznego ogrodu w Schönbrunnie.

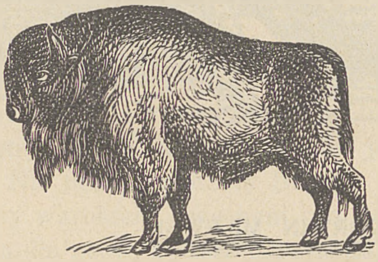
Podczas przeprowadzania zginął najstarszy byk 10-tak, syn zabitego 14-taka, tak, że została tylko trójka: stara łania, młoda, i młody 6-tak.

Obecnie pomnożyła się rodzina o troje cieląt, ale same łanie, tak, że utrzymanie rodu spoczywa na jedynym obecnie byku 12-taku.

Mimowoli nasuwa się pewna uzasadniona wątpliwość, czy można porównać stosunki bezpieczeństwa Niższej Austrji ze stosunkami w... puszczy Białowieskiej, gdzie wśród mieszkańców wsi tamtejszych żyje żywo zapewne jeszcze tradycja, że na żadnem weselu nie powinno brakować mięsa z żubra!

Druga wiadomość zaczerpnięta również z „Wild und Hund" napełnić powinna otuchą każdego, kto interesuje się wszelkiemi przejawami przyrody:

Z Wschodnich Prus daje się słyszeć głos skargi na zbytnie rozmnożenie się... łosi, na które wolno polować tylko w lasach rządowych i wielkich terenach łowieckich za specjalnem zezwoleniem prezydenta! Obecnie rozeszły się już łosie po rewirach, w których przed wojną nigdy ich nie było i wyrządzają nawet szkody w polach! — W tym roku padło: 50 (pięćdziesiąt) byków, i 23 (dwadzieścia trzy) klemp! — Autor korespondencji proponuje: pozwolenie odstrzału tylko byków i tylko przez jeden miesiąc wrzesień (nie podaje jak długi jest obecny okres polowania) ale zato dla wszystkich rewirów i wszystkich myśliwych.



Notatki bibljograficzne

Stefan Badeni: Szczęśliwe dni. Urywki z pamiętnika myśliwskiego. Z 72-ma zdjęciami z natury. Kraków 1930. Druk Anczyca. Format in 4⁰, str. 159.

Piękna ta książka wzbogaca naszą literaturę łowiecką, tak świetnie rozwijającą się po wojnie, wzbogaca ją w tym dziale, któremu stanowczo za mało poświęcało się i poświęca uwagi. Jestto dział pamiętnikarski. Ma on wielkie znaczenie dla łowiectwa, ale i dla naszej kultury wogóle, znaczenie trwałe, które z biegiem czasu może się tylko potęgować. Opisy rzeczywistych przeżyć, z sylwetkami osób, oznaczeniem miejscowości, obliczeniem zwierzyny, pomiarami, względnie wagą okazalszych sztuk tej zwierzyny, dalej uwagi o istniejących w danej chwili stosunkach geograficznych, klimatycznych, komunikacyjnych, o miejscowej ludności, ba! żywoty dzielnych piesków, zwłaszcza „dzikarzy" — wszystko to wszakże ma wartość dokumentów, o wiele cenniejszych, niż wydaje się nam współczesnym, dla których rzeczy te pozornie są takie zwykłe, takie codzienne, że i pan Stefan Badeni „nie bez wahania oddał do druku te kartki".

Ale te „kartki" z dziennika myśliwskiego mają wszelkie cechy pamiętnika, który przytem podany jest czytelnikowi w formie literackiej. Niejeden utwór czystej literatury przebrzmi bez echa i przejdzie dawno w zapomnienie, — pamiętnik zaś pozostanie tem czem jest: źródłem wiadomości. A wszakże godne uwiecznienia są takie postaci, jak pan Edward Münter. Jakże charakterystycznie występuje on w opowiadaniu autora. Widzimy go wszyscy, jak po położeniu dzika dwiema kulami na komorę, woła „z policzkami zarumienionymi i dłonią wyciągniętą" do gospodarza: „Kochanego Pana... Jak ja się cieszę!..." Godne upamiętnienia są fotograficznie utrwalone pokoty z takich dni, w których to „w 6 strzelb zabito 20 dzików, a 2 tylko uszły chybione". Albo taka, na widok zabitego odyńca, wyrocznia chłopska: „Zagryzł język, będzie jeszcze drugi" — bo „wedle wierzenia dzik, który ginąc zagryza język, czyni tak, by nie zdradzić innego dzika, o którym wie".

Słowem — tego rodzaju literatura łowiecka, jaką przedstawia książka hr. Badeniego, ma swoje specjalne znaczenie i powinna być przykładem dla innych wielkich myśliwych i zachętą do naśladowania. Wtedy ich łowy, ich mioty słynne, ich przygody ciekawe, nie skończą się z ostatnim strzałem, nie wyczerpią się w ustnem opowiadaniu, ale będą trwały wiecznie. Bo przecież warte są tego.

Szczególniejsza wzmianka należy się ilustracjom książki, wykonanym na podstawie zdjęć fotograficznych. Szkoda, że i te fotografje nie są, jak epizody tekstu, dokumentowane. Brak im odpowiednich objaśnień. Można je — co prawda — znaleźć w tekście, ale i to nie zawsze. Co przedstawia zdjęcie takiego a takiego domu, lub pałacu, trzeba się domyślać. Jestto rzecz obojętna dla najbliższego koła przyjaciół autora. Ale książka jest, i słusznie, przeznaczona dla szerszego ogółu czytelników, skoro znajduje się w handlu księgarskim. Artystycznej wartości wydawnictwa takie „legendy" ilustracyjne byłyby bynajmniej nie uszczupliły. Wartość zaś realna książki byłaby jeszcze większa. Nadzwyczaj interesujące są momentalne zdjęcia np. dzika w strzale. Jestto pewnego rodzaju *clou* tych ilustracyj. Zdjęcia takie, nie mówiąc już o ich niezwykłości, należą z pewnością do trudniejszych, aniżeli zdjęcie słonia w Afryce. Tu, w małopolskiej, zwłaszcza górzystej kniei, warunki są zgoła odmienne. Ani rodzaj zwierzyny, gdy mowa o dziku, ani błyskawiczna szybkość momentu, ani światło dnia zimowego, nie sprzyja fotografji. Z innych zdjęć zwierzyny w ruchu, zwracają uwagę stada kaczek w locie.

Drukarska strona książki doskonała, jak wszystko, co wychodzi z drukarni Anczyca.

W. Z.

Korespondencje

Dublany, w grudniu 1929

W dniach 18 i 19 listopada 1929, odbyło się doroczne jesienne polowanie w Wiszence u Pp. Stanków. Polowanie prowadzone było sprężyście i z wielką znajomością rzeczy. Padło 67 zajęcy i 5 lisów, sarn widziano bardzo dużo, jedynie dziki w tym roku nie dopisały. Królem polowania został p. Władysław Makomaski, mając na rozkładzie 12 zajęcy i 2 lisy. Wynik ten, to rezultat sumiennej i racjonalnej gospodarki łowieckiej, gdyż śmiało można powiedzieć, że stan zajęcy i sarn w dwu ostatnich, dla zwierzyny tak ciężkich latach, wzrósł w Wiszence w dwójnasób.

Zbigniew Sander

Komunikat

Z Oddziału M. T. Ł. w Krakowie

Rozszerzenie czasu ochronnego. Wojewoda krakowski rozp. z dnia 11 grudnia 1929 r. za L. Ad. 2442 rozszerzył na terenie Województwa krakowskiego na rok 1930 normalny według prawa łowieckiego czas ochronny na: zające-szaraki od 15 stycznia do 31 października, — kuropatwy od 1 listopada do 15 września, — dzikie kaczki od 1 marca do 20 lipca — i sarny-kozły od 1 października do 15 czerwca. Rozporządzenie wchodzi w życie z dn. 1 stycznia 1930 r.

Nadto przypomina się rozszerzony czas na wiewiórki od 1 stycznia do 31 grudnia 1930 r.

Stanisław Morawetz
sekretarz

ROCZNE ZEBRANIE

Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Żubra Oddział Polski

odbędzie się w Poznaniu, w salce „Koła Towarzyskiego" Bazar — ul. Nowa 5. stycznia 1930 r. o godz. 17-tej.

Porządek obrad:

1. Sprawozdanie z czynności Oddziału Polskiego M. T. O. ż. i z obrad Kongresu odbytego w Poznaniu w dn. 1—3 września b. r.

2. Sprawozdanie kasowe.

3. Ustalenie stosunku naszego do Zarządu M. T. O. ż. w Frankfurcie. Objaśnienie: W Zarządzie nie zasiada dotąd żaden Polak. Ponieważ Polska realizuje plan zaprowadzenia znów żubrów do Białowieży, posiada nadto najliczniejszy oddział, stawić należy wniosek o przyznanie Polsce dwóch miejsc w Centralnym Zarządzie.

4. Ułożenie planu hodowlanego dla żubrów znajdujących się w obrębie Rzeczpopspolitej Polskiej. Objaśnienie: Zarząd Oddziału Polskiego uważa, iż jest jego zadaniem czuwanie nad właściwym sposobem i kierunkiem obecnej hodowli żubra w Polsce, należy mu się więc conajmniej czynność doradcza i opiekuńcza.

5. Wybór nowego Zarządu, siedziby i organu Oddziału Polskiego. Objaśnienie: Według uchwały ostatniego Wal-

nego Zebrania wybór dotychczasowego Zarządu nastąpił jedynie na rok 1929 z siedzibą w Poznaniu.

6. Wolne głosy.

Zarząd Oddziału Polskiego
Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Żubra

Prezes *Wł. Janta-Połczyński* Sekretarz *Szczurkowski*

OGŁOSZENIE

Czytajcie „Aktualne Wiadomości Leśnicze“! Adres Redakcji i Administracji: Lwów, ul. Na Skałce l. 1. Prenumerata roczna 3,60 zł. Czasopismo wychodzi regularnie co dwa tygodnie. W treści uwzględnia się działy:

Z praktyki leśnej i ogólno leśne. Sytuacja na rynku drzewnym i notowanie cen. Z piśmiennictwa fachowego. Wiadomości bieżące. Pośrednictwo pracy. Rozmaitości.

OGŁOSZENIE

Niniejszem podaje się do powszechnej wiadomości, że w dniu 10. stycznia 1930 r. o godzinie 10-tej rano, odbędzie się w Starostwie w Rohatynie (drzwi Nr. 8, I. p.) licytacyjna sprzedaż skonfiskowanej niezdatnej do użytku broni.

Rohatyn, dnia 18 grudnia 1929. Starosta powiatowy *(J. Orłowicz)*

OGŁOSZENIE LICYTACJI

Dnia jedenastego stycznia (11. I.) 1930 r. o godzinie 11-tej odbędzie się w biurze Starostwa powiatowego w Krakowie, ul. Starowiślna 13, I. p., drzwi Nr. 38 sprzedaż w drodze publicznego przetargu używanej broni myśliwskiej i rewolwerów.

Mający zamiar przystąpić do licytacji, muszą się wykazać kartą na broń.

Broń przeznaczoną na sprzedaż można oglądać w dniu licytacji od godziny 10-tej rano.

Starosta powiatowy
Orłowski

SPROSTOWANIE

na ogłoszenie z dnia 16-go lipca 1929 r. na łamach „Łowca“, którego autorem jest p. Zdzisław Lewicki.

Swego czasu zgłosił się do mnie wyżej wspomniany z propozycją zamiany jego 4-letniej pointerki, rzekomo dobrze ułożonej, na 2-miesięczną suczkę rasową, rasy szorstkowłosej. Ponieważ w tym wieku takiej suki nie posiadałem, zaproponowałem starszą sukę około 7 miesięcy, którą za zgodą p. Z. L. wysłałem. Suka była bardzo rasowa, po importach z rodowodem. P. Lewicki, czy też jacyś inni znawcy jak p. L. pisał, uznali ją za nierasową, odsyłając ją z powrotem. Teraz życzył sobie p. L. ułożoną sukę z ewent. dopłatą, ofiarowując mi w miejsce gotówki 350 zł. w wekslu; zgodziłem się wyjątkowo na jego propozycję i prosiłem o przesłanie owego weksla. Pan L. widocznie zapomniał co pisał, ponieważ obraził się treścią mego listu i żądał sukę na próbę. Moja cierpliwość się skończyła i napisałem, że na tego rodzaju korespondencje czasu nie mam, gdyż każdy list zawiera inne propozycje a nawet żądania. W międzyczasie sukę p. L. zamieniłem u pewnego myśliwego, nazwiskiem Buczkowski, Dalkowo koło Inowrocławia, uprzedzając o tem p. L. Za sukę dostałem rocznego psa szorstkowłosego, kiedyś zakupionego jako szczeniaka z mojej hodowli. Pies był jeszcze zupełnie surowy, którego przed zamianą nie próbowałem w polu, ponieważ był surowy. Pan L. robił mi wymówki w liście, że zrobiłem na jego suce taki świetny interes, jego zaś chcę zbyć czem bądź. Ażeby p. L. zadowolić, postanowiłem wysłać tego psa od p. B., którego zamieniłem głowa za głowę na sukę p. L. Po pewnym czasie odesłał p. L. owego psa dlatego, że się boi strzału, żądając zarazem za swoją pointerkę w gotówce 500 zł. że tego rodzaju żądania nikt by nie uwzględnił, jest rzeczą zupełnie zrozumiałą tem więcej, że pointerka była skończonym gałganem, jak p. Buczkowski oświadczył mi po pewnym czasie. Co do wysłanej swego czasu pointerki, to chyba p. L. sam nie wierzy, że stało się to z mej strony z rozmysłem. Winę ponosi jedynie p. L., gdyż wyraz szorstkowłosy był tak napisany, że prędzej go można było czytać krótkowłosy (krótkowłosy — czytali ten wyraz także inni panowie) a także i Sz. Redakcja, której całą korespondencję na dowód moich twierdzeń przesyłam. Nie liczyła ona zresztą 3 lat, tylko przeszło rok. Suka była w średniej kondycji.

że w jednym wzgl. drugim wypadku sprzedałem p. L. pół roczną sukę w świetnej kondycji za 125 zł. nic p. L. nie wspomina. Jako corpus delicti przesłałem Szan. Redakcji całą korespondencję i nadmieniam równocześnie, że na dalsze ewentualne zaczepki w przyszłości reagować nie będę. *Ignacy Jasiński*

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32